

Muzyka sakralnej przestrzeni



Alina Błońska

ALINA BŁOŃSKA - kompozytorka od ponad 20 lat związana z Hiszpanią. Absolwentka iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego oraz kompozycji Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu (klasa prof. Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil, dyplom z wyróżnieniem). Udział w kursach w Polsce i w Hiszpanii. Tytuł doktora sztuk muzycznych w zakresie kompozycji uzyskany na uczelni macierzystej. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Samorządu Miasta Wrocławia, ZAIKS oraz szwedzkiego stowarzyszenia SIDA *Baltic Sea Unit*. Laureatka I Konkursu dla Młodych Kompozytorów im. Tadeusza Ochlewskiego PWM (wyróżnienie), trzykrotna finalistka konkursu *Encuentro de Composición Injuve* oraz laureatka I nagrody ex aequo i nagrody publiczności na *I Concurso Internacional de Composición "María de Pablos"* w Hiszpanii. Wykonania na wielu festiwalach w Polsce, Hiszpanii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Białorusi, Ukrainie oraz w Meksyku. W 2016 r. pod patronatem Instytutu Kultury Polskiej odbył się w Madrycie koncert monograficzny kompozytorki. Ponadto Alina Błońska komponowała m.in. na zamówienie *Deutschsprachige Evangelische Gemeinde* oraz Ambasady RP; instytucji znajdujących się w Madrycie. W 2019 r. wytwórnia Solé Recordings z Barcelony wydała pierwszą płytę autorską kompozytorki zatytułowaną „*La música callada*”. Od tamtego czasu kompozytorka nagrała w Madrycie drugą płytę („*Noche oscura*”), która zostanie wydana przez polską wytwórnię Dux.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Co jakiś czas mam wielką potrzebę obcowania z Pani muzyką. Ta muzyka do mnie powraca. Płyta „La música callada” (*Muzyka ciszą przepojona*) z 2019 roku wywołuje we mnie chęć kontemplacji, wsłuchiwania się w siebie i dotykania najgłębszych myśli, odczuwania własnej egzystencji, czy doznania piękna. Słuchając tytułowego utworu „La música callada” na wiolonczelę, bałam się oddychać, żeby nie uronić żadnego dźwięku. Utwór ten został na końcu powtórzony przez orkiestrę, co spotęgowało jego wymowę. Po wysłuchaniu płyty długo jeszcze siedziałam w ciszy, żeby zostać w stanie, w który ta muzyka mnie wprowadziła.

Alina Błońska:

„La música callada” to jeden z wersów „Pieśni duchowej” hiszpańskiego mistyka św. Jana od Krzyża, rozumiany przez niego jako „głos Boga rozbrzmiewający w duszy człowieka”. Myślę, że sam cytat w dużej mierze tłumaczy dobór języka zastosowanego w utworze – musiał on być wyjątkowy czerpiąc inspirację z tak niezwykłego źródła. Nawiązując do Pani wrażeń, kiedy słucham obu kompozycji, muzyka przenosi mnie w inny wymiar. Odczuwam to zwłaszcza przy wersji orkiestrowej w znakomitym wykonaniu Orkiestry Kameralnej PR „Amadeus”. Na marginesie wersja ta powstała jako pierwsza i dopiero później

„wyłoniła się” z niej wersja na wiolonczelę solo.

Czy komponując tego typu utwory, trzeba wejść na bardzo wysokie rejestry i mocno się skoncentrować, żeby usłyszeć ten właściwy głos? Czy też głos jest gdzieś w Pani, a Pani stara się go tylko wydobyć i przetworzyć?

Rozpoczęcie każdego utworu wiąże się dla mnie z ogromną koncentracją, ale przede wszystkim z wyciszeniem się i wsłuchaniem we własne wnętrze. W tej tak ważnej chwili wyczekiwania na pierwszy dźwięk rodzi się załączek całego utworu.

„Muzyka ciszą przepojona” to tytuł utworu i tytuł płyty. Za utwór „Wołanie w ciszę” z 2000 r. otrzymała Pani nagrodę na konkursie kompozytorskim w Krakowie. Gdy podczas Festiwalu Muzyki w Łańcucie w latach 90.

przeprowadzałam wywiad z Krzysztofem Pendereckim, uderzyło mnie, jaką wagę kompozytor przykładał do pojęcia ciszy, jak ważną rolę odgrywała w jego utworach. - Cisza, to też muzyka - mówił. A czym dla Pani jest cisza w kompozycji?

Rzeczywiście, cisza w mojej twórczości, podobnie jak u Krzysztofa Pendereckiego, odgrywa istotną rolę, dlatego nie bez przyczyny kompozycja „La música callada” nadaje tytuł mojej

pierwszej płycie. Wspomniany przez Panią utwór „Wołanie w ciszę” pochodzi jeszcze z okresu studiów, ale już wskazuje na znaczenie milczenia w moim języku muzycznym. Wpływa to z osobistej potrzeby ciszy... Żyjemy w coraz większym hałasie, już nie tylko na ulicy, ale nawet w domu z powodu narastającej liczby urządzeń elektronicznych i ekranów. Jesteśmy bombardowani obrazami w środkach komunikacji, galeriach handlowych... Osobiście odbieram to jako “zakłócanie” mojej osobowości. Przeładowanie bodźcami nie tylko odrywa naszą uwagę wzrokową i słuchową, ale także negatywnie wpływa na ludzką psychikę.

W odniesieniu do muzyki cisza jest jej nieodłączną częścią, nie akustyczną pustką, jak mogłoby się wydawać. Czym byłoby samo brzmienie bez przynajmniej chwilowego milczenia...?

Dźwiękowym słowotokiem? W ciszy rezonują dźwiękowe „konstelacje” i to między innymi sprawia, że słuchacz doznaje wielu wrażeń estetycznych, duchowych. Tu nasuwa mi się pewna refleksja: z perspektywy osoby blisko związanej z Hiszpanią zauważyłam, iż wyczekanie ciszy wpisanej w utwór jest cechą Polaków, czy też narodów środkowoeuropejskich. Natomiast Hiszpanom jest czasem naprawdę trudno pozwolić wybrzmieć ostatnim taktom kompozycji, a niekiedy zdarza się nawet, że i w trakcie trwania utworu ktoś z publiczności zacznie klaskać. Wynika to zapewne z żywiołowego temperamentu południowców.

Skoro jesteśmy przy Krzysztofie Pendereckim, kompozytor powiedział też, że w komponowaniu wielkich oratoryjnych utworów, trzeba być architektem. Jemu marzyła się architektura, jako kierunek studiów, a że skończył kompozycję to z dźwięków buduje monumentalne budowle. Czy Pani też się czuje architektem swoich utworów?

Penderecki zasłynął jako kompozytor licznych monumentalnych dzieł. Ja nie miałam okazji napisać aż tylu kompozycji wielkich rozmiarów. Uważam jednak, że każdy kompozytor jest architektem dźwięków niezależnie od tego, czy pracuje nad wielką formą wokalnie-instrumentalną, czy utworem kameralnym. Oczywiście komponując utwór rozmiarów katedry, praca kompozytora-architekta jest o wiele bardziej zauważalna, ale przecież również skromny dom wymaga tego, żeby go zaprojektować.



Nagranie rocznicowej kantaty z zespołem „La Spagna”

Czy dla kompozycji ważne jest miejsce wykonania utworu, bazylika, kościół, czy też sala koncertowa?

Bez wątpienia. Na podstawie własnych doświadczeń przekonałam się, że przestrzeń sakralna jest najbardziej odpowiednia dla odbioru muzyki o charakterze religijnym. Inaczej odbieram „Pasje” Bacha w katedrze niż w typowej sali koncertowej. W tej ostatniej muzyka nie przemawia do mnie w taki sam sposób jak we wnętrzu kościoła gotyckiego. Natomiast sala koncertowa ze względu na swoje parametry akustyczne doskonale sprzyja recepcji muzyki symfonicznej i kameralnej, np. kwartetom smyczkowym Beethovena. A skoro już mówimy o

przestrzeni, to chciałabym zauważyć, że od zeszłego roku wiele tracimy słuchając koncertów on-line. Ekran komputera nigdy nie zastąpi emocji obcowania z muzyką w sali koncertowej lub w bazylice, odczuwania jej atmosfery, reakcji publiczności... To już nie to samo przeżycie. Siedząc przed ekranem komputera trudniej mi utrzymać uwagę i w pełni zagłębić się w muzykę.

Powracając do Pani płyty „Muzyka ciszą przepojona”, jest na niej duża różnorodność, utwory są skomponowane na różne instrumenty i głos, wywołują też różny nastrój. Przyznam się, że jak słuchałam Pani płyty z odtwarzacza komputera, muzyka ta wydawała mi się niezrozumiała. Gdy jednak wysłuchałam ją na dobrym sprzęcie, z użyciem wzmacniacza lampowego, przeniosłam się w inny wymiar. Pani kompozycje są wymagające, potrzebują dobrej jakości odtwarzania, albo wykonania ich na żywo we wnętrzach o odpowiedniej akustyce. Czy Pani się ze mną zgadza?

To słuszna uwaga. Generalnie dotyczy to muzyki współczesnej, która często nacechowana jest intensywnymi efektami kolorystycznymi czy też dynamicznymi przez co może czasem „porażać” zbyt silną ekspresją słuchacza nieprzyzwyczajonego do tego rodzaju muzycznej wypowiedzi. Naturalnie zależy to także od utworu, ale jest bardzo prawdopodobne, że w przypadku sprzętu komputerowego w mniejszym lub większym stopniu dojdzie do zniekształcenia dźwięku. Zatem, żeby

odpowiednio i bez uprzedzeń podejść do muzyki współczesnej – co nierzadko ma miejsce – trzeba jej słuchać na dobrym odtwarzaczu, a nie na tablecie czy smartphonie. Z pewnością nie jest to muzyka, która ot tak sobie może brzmieć w tle, podczas gdy wykonuje się jakąś czynność.

W Pani muzyce wyraźnie słychać mistykę i duchowość. Inspiracją dla Pani są kompozytorzy wieków średnich, renesansu i baroku - niemiecka średniowieczna mistyczka, kompozytorka i pisarka Hildegarda z Bingen, hiszpański kapłan, twórca renesansowych utworów polifonicznych Tomás Luis de Victoria czy też poeta hiszpański, wspomniany już św. Jan od Krzyża. Co Panią w nich zafascynowało?

Mistyka pojawiła się w moim życiu jeszcze w okresie studiów filologicznych. Zafascynowała mnie głębią trudnych do wysłowienia doświadczeń duchowych; przekraczających to, co namacalne i widoczne gołym okiem. Z odkryciem św. Jana od Krzyża i innych autorów wiąże się postać Tomása Luisa de Victoria, głównego przedstawiciela hiszpańskiego mistycyzmu muzycznego, żyjącego w tej samej epoce co jego rodak, karmelita bosy i mistyk. Victoria to niezmiennie jeden z bliskich mi kompozytorów obok Hildegardy z Bingen czy Bacha, do których powracam z wewnętrznej potrzeby. Muzyka sławnego hiszpańskiego kompozytora i księdza, o którego był zazdrosny

sam Palestrina, zachwyca niezrównanym połączeniem prostoty, piękna i wyjątkowej duchowości. Stylem, który przenika głęboko do duszy i sprawia, że zapominamy o tym świecie...

Komponuje Pani na instrument smyczkowy viola da gamba, popularny w renesansie i baroku. Czy użycie tego instrumentu ma nawiązać stylem do muzyki dawnej, czy też jest jakiś inny powód, że go Pani wykorzystuje w swoich kompozycjach?

Violę da gamba odkryłam w Hiszpanii, gdzie instrument ten jest bardzo ceniony. Pociąga mnie w niej wyjątkowa ekspresja, a zwłaszcza melancholia. Zasadniczą cechą gry na tym instrumencie jest uzyskanie jak najdłuższego wybrzmiewania 6-7 strun w zależności od modelu. Jest to przebogate źródło inspiracji zarówno w celu przywołania atmosfery muzyki dawnej, jak i potraktowania go bardziej współcześnie.

Utwór „Tombeau pour Pologne” (*Grób dla Polski*) z 2012 r. skomponowany został na violę da gamba i zadedykowany belgijskiemu wirtuozowi tego instrumentu Wielandowi Kuijkenowi. Służy uczczeniu pamięci polskiego narodu, który na przestrzeni wieków walczył o niepodległość, ponosząc przy tym wiele ofiar. Proszę powiedzieć dlaczego powierzyła Pani właśnie temu instrumentowi wydobyć tak emocjonalnej treści?

Wielanda Kuijkena miałam zaszczyt poznać osobiście dziesięć lat temu w Madrycie. Niewielkiej postury i o ujmującym sposobie bycia jeszcze wtedy był niekwestionowanym autorytetem dla młodszych pokoleń gambistów, zanim choroba zmusiła go do wycofania się z aktywnego życia. Nie mógł więc dokonać prawykonania mojej kompozycji. Tytułowe *tombeau* to gatunek o charakterze żałobnym, często spotykany w muzyce francuskiej. To nie przypadek, że właśnie nim się posłużyłam dla wyrażenia muzycznej refleksji na temat dramatycznej historii Polski. Z kolei budowa siedmiostrunowej violi da gamba stwarza ogromne możliwości wyrazowe i rezonansowe przez co sprzyja wydobyciu całej gamy emocjonalnych odcieni. Trzeba jednak zauważyć, że melancholia to cecha, pod względem kórej żaden inny instrument nie może konkurować z violą da gamba.

Z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości skomponowała Pani utwór kameralny „Hacia la verdad como Quijotes - Ku prawdzie jak Don Kichoci” zainspirowany wierszem Cypriana Kamila Norwida „Epos nasza. 1848”. Pani utwory są wykonywane w wielu miejscach na świecie. Czy Pani celem jest opowiedzieć o naszej ojczyźnie tym, którzy o niej niewiele wiedzą?

Poruszyła Pani bardzo ciekawy wątek w mojej twórczości. Nazwałabym go wątkiem historycznym, a to stąd, że w liceum

historia była jednym z moich ulubionych przedmiotów. Wątek ten pojawił się u mnie, podobnie jak i cisza, również w okresie studiów. Wtedy będąc pod silnym wrażeniem książki Józefa Czapskiego „Na niehumanitarnej ziemi” napisałam bardzo dramatyczną kompozycję zatytułowaną „Ziemia niehumanitarna”. Została ona potem wykonana w Polsce i we Francji. Drugą kompozycją przynależącą do motywu polskości w mojej drodze twórczej jest wspomniany już utwór „Tombeau pour Pologne”. Został on bardzo pozytywnie przyjęty przez Bettinę Hoffmann, jedną z czołowych europejskich violagambistek, jak i innych solistów tego instrumentu.



Nagranie utworu „Hacia la verdad como Quijotes”, głównie z polskimi wykonawcami z Madrytu

Natomiast trzy lata temu powstało „Hacia la verdad como

Quijotes – Ku prawdzie jak Don Kichoci” na zamówienie Ambasady RP w Madrycie. Zastanawiałam się wówczas, czy wykorzystać wiersz Cypriana Kamila Norwida w oryginale czy może w hiszpańskim tłumaczeniu, jako że utwór miał być wykonany w Hiszpanii. Zdecydowałam się ostatecznie na tłumaczenie, żeby przez złączenie poezji z muzyką bardziej przybliżyć polską kulturę, a zwłaszcza mało znaną naszą historię. Stąd również wziął się dwujęzyczny tytuł kompozycji. Wybór akurat tego tekstu Norwida nie był przypadkowy. To właśnie dzięki temu poecie – tak zafascynowanemu dziełem Cervantesa – powieść wielkiego hiszpańskiego pisarza zaczęła być doceniana w Polsce. Warto wspomnieć w tym miejscu, że Norwid nauczył się czytać na przygodach Don Kichota. Kiedy w zeszłym roku dokonaliśmy nagrania tej kompozycji ze znakomitymi polskimi muzykami z Madrytu, ponownie wybrałam hiszpańskie tłumaczenie z myślą o propagowaniu polskiej historii. Miło mi już teraz zapowiedzieć, że nagranie tego utworu znajdzie się na drugiej płycie, która obecnie jest w przygotowaniu.

Zdobywa Pani wiele nagród, Pani utwory są wykonywane w różnych prestiżowych salach koncertowych. Czy jest koncert, który Pani wyjątkowo pamięta?

Na pewno inaczej odbiera się własne koncerty za granicą. Prawykonania moich kompozycji z udziałem madryckiej Polonii były dla mnie zawsze wyjątkowe wraz ze świadomością, że

poprzez swoją twórczość mogę przyczyniać się do pozytywnego postrzegania Polski poza jej granicami. Gdybym mimo wszystko miała wyróżnić jakieś wydarzenie, to byłby to mój koncert monograficzny w Madrycie. Wówczas po raz pierwszy polska i hiszpańska publiczność miały okazję posłuchać aż siedmiu utworów i w ten sposób lepiej poznać mój styl kompozytorski. Z perspektywy czasu wspominam dzień koncertu jako ogromnie stresujący od strony organizacyjnej, ale i kluczowy dla mojego rozwoju artystycznego.

Do niedawna mieszkała Pani w Hiszpanii, oprócz kompozycji studiowała Pani iberystykę, daje też Pani wykłady na temat współczesnej muzyki hiszpańskiej w Polsce i na temat polskiej muzyki współczesnej w Hiszpanii. Co urzekło Panią w tym kraju, jego historii i sztuce, że zgłębia Pani jego kulturę i buduje mosty pomiędzy hiszpańską i polską kulturą?

Być może trudno w to uwierzyć, ale początek mojego długiego „związku” z Hiszpanią, który zaczął się od iberystyki, był dość przypadkowy. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Z biegiem czasu okazało się, jak wielki wpływ wywarł on na moje życie i drogę twórczą. W czasie studiów muzycznych jeździłam na kursy kompozytorskie do Hiszpanii, gdzie poznałam wielu współczesnych kompozytorów. Na tamtym etapie największe wrażenie zrobił na mnie Cristóbal Halffter, twórca o niezwykle

silnej osobowości. Potem, kiedy już mieszkałam w Hiszpanii, pozwoliło mi to zdystansować się wobec polskiej panoramy muzycznej, co dało mi poczucie niezależności twórczej. W sumie ponad 20-letni „związek” z Hiszpanią zaowocował sporą ilością kompozycji zainspirowanych kulturą tego kraju. Wymienię tu, oprócz wspomnianego wcześniej św. Jana od Krzyża i Tomasa Luisa de Victoria, poetów Garcíę Lorkę, Juana Ramona Jimenéseza oraz meksykańkę Juanę Inés de la Cruz.

Architektonicznie, malarsko, krajobrazowo i kulinarnie Hiszpania jest spektakularnym krajem. Muszę jednak przyznać, że z moją słowiańską duszą czasem brakowało mi gotyku środkowoeuropejskiego i naszej rodzimej przyrody. Również co się tyczy charakteru Hiszpanów, choć lubię ich uśmiech i uprzejmość na co dzień w porównaniu z gburstwem na polskich drogach, nieraz w kontaktach odczuwałam brak słowiańskiej melancholii i mniej powierzchownego stosunku do życia.

Jak pandemia wpłynęła na Pani plany zawodowe?

Negatywnie. Rok temu na początku marca wraz z Instytutem Polskim oraz Instytutem Cervantesa w Madrycie prowadziliśmy rozmowy na temat prezentacji mojej płyty. Miała się ona odbyć w formie koncertu w Madrycie i Warszawie. Ogromnie żałuję, że do niej nie doszło..., gdyż program zapowiadał się naprawdę wspaniale przy współudziale hiszpańskiego kompozytora

mieszkającego w Paryżu, José Manuela López López. Jeśli zamykane są sale koncertowe i kościoły, to siłą rzeczy musi się to odbić niekorzystnie na liczbie organizowanych koncertów i festiwali. Nie wszystkie będą w stanie przetrwać.

Czy myśli Pani o kolejnej płycie, ma Pani zamówienia na nowe utwory? Jak wygląda teraz Pani artystyczna droga?

Cieszę się bardzo, że pomimo obecnej sytuacji mam gotową drugą płytę nagrałą w Madrycie, zawierającą kompozycje wyłącznie skomponowane w Hiszpanii. W tym przypadku zależało mi na tym, aby została wydana w Polsce i ku mojej radości w zeszłym tygodniu wytwórnia Dux z Warszawy powiadomiła mnie, że z przyjemnością podejmie się tego.

Projektem, który teraz bardzo leży mi na sercu, jest los obszernej kompozycji wokalnie-instrumentalnej „Wybrzeże 1970”, skomponowanej w zeszłym roku z okazji 50. rocznicy masakry na Wybrzeżu. Z powodu niesłychanie zawiłych komplikacji formalno-prawnych nie doszło do jej prawykonania zeszłej jesieni i w konsekwencji nie otrzymałam honorarium za rok pracy... Jest to 45-minutowa kompozycja nawiązująca w warstwie słownej i muzycznej do niezwykle tragicznych wydarzeń dla nas Polaków, we wstrząsający sposób pokazanych w filmie „Czarny czwartek”. W ten sposób chciałam złożyć hołd stoczniovcóm, którzy za wolność zapłacili najwyższą cenę – swoim życiem. W obecnych

czasach kiedy najtrudniej o prawykonanie kompozycji „architektonicznych” rozmiarów, korzystając z okazji zwracam się do tych czytelników Pani magazynu, dla których pamięć o tej bolesnej rocznicy jest cenna i którzy mieliby możliwość wesprzeć finansowo ten projekt. Moim marzeniem jest, aby utwór, w który włożyłam tyle serca i wysiłku, mógł ujrzeć światło dzienne i dotrzeć do publiczności w postaci koncertu lub/i nagrania. Wierzę, że tak się stanie.

Zobacz też:

Twórczość kompozytorska Aliny Błońskiej w Hiszpanii

Miłość,

która przetrwała rozłąkę

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej” we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów”, za

którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Maleńką Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i zgrabne półbuciki. Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres – Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?



Ślub Józefy i Kazimierza



Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobnym pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak

najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

Lwów, dnia 23 października 1916.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkim, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bożę o szczęśliwy i jak najprędniejszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu...

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

Kijów, 27 marca 1917.

Najdroższa Józio! Już blisko dwa miesiące jak nie mam

wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrowy, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasylałam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazińku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

Kijów, 30 czerwca 1917.

*Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę.
Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrow jestem.
Zaszyłam najserdeczniejsze ucałowania.*



Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w

wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót...

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

- Bądź grzeczna i siedź cicho – przykazała jej – jedziemy do taty,

on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób rozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkami i powtarzając cichutko: „Tata woli kała, tata woli kała...”

Pobyt obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwał kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowало poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

– Ale my już prawie jesteśmy w domu – próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

– I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? – zapytał Kazimierz.

- Nie - odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie,

lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.

Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.

Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć, tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko

będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.

Tak jestem ciekaw, co tam słyszeć, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.

Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swoim położeniem przelęknięty, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz

Kijów 16/V/1920.

Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.

Korespondencja wojenna



Kazimierz powrócił do rodziny dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej, przedzierając się przez niespokojne tereny powstałej właśnie Ukraińskiej Republiki Ludowej, w towarzystwie przewodnika, który co jakiś czas przystawał i kazał sobie dodatkowo płacić. Zupełnie jak maszynista z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, który zatrzymywał pociąg jadący do Polski i zarządzał „remontik”. Kazimierz rad nierad płacił, aż w końcu wydał wszystko, co miał. Wtedy złapał kompana za gardło, potrząsnął nim trochę, pogroził, a ten już

bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

- To tamtejsza - tłumaczył żonie i córce - chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: - *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody - *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego*

osobliwy relikw w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.[1]

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską”, która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utracić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazimierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała siebie”, jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół

Szkół Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanęły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

- Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprowadzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła” na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.



Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowsky ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stał na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkane było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone

wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

- Daj sobie spokój z tym cypundrakiem – poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

- To takie „ni to, ni sio” – wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na

pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

„Zaľubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracja i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.

Julia 25 lipca 1941

Stanowem Panie !

Julia bardzo pytnie
wygląda i serdecznie
mnie wita, dowiedziawszy
wyraźnie, tylko smutno
było her Pana ! mam
nadzieję, że jeszcze wypro-
szyć Panu dobre robie
i że Pan wrót do nas powróci
ochotliwie Pana wysyła !

Łęczy wyraz
prawdziwego powołania
Potocki



Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrowki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkim zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowolniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym stale cierpi na bezsenność. Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki”, którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniączkę”. Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając

się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprowadzenie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

– Jacy z was żołnierze?! – zawołała oburzona Józefa. – Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

– *Eto wracz!* – zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowsky sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną czapkę, materiał na

garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów – męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołynii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.

Śmierć na wygnaniu

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutschów*, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba”, jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokoi i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli. Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ująłby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym

przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpacz, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z małżonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.



Narzeczeni – Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki

Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się

nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe”, czyli „pomoc biurową”. Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

Przypisy:

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf – Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

Prawo sensybilizmu



Drzeworyt, który posłużył za projekt okładki książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence” z 1985 r.

Kazimierz Głaz (Toronto)

A jednak... „Gombrowicz w Vence” (to tytuł mojej wspomnieniowej książki). Dom, w którym wynajmował drugie piętro, w tym południowym miasteczku, decyzją dwóch rządów i paru ministrów kultury został zamieniony na Muzeum Witolda Gombrowicza. Willa Alexandrina, dwupiętrowa kamienica, pobudowana kiedyś w centrum miasta przez francuskiego

krawca, zwana później „Pałacem” zamieniła się, jakby magicznie, w polsko-francuskie muzeum, więcej niż muzeum, międzynarodowy dom kultury. Były lokator nie myślał pewnie o takiej metamorfozie, chociaż to mianowanie na „Pałac” miało ten zwykły dom jakoś wyróżnić, by usprawiedliwić prawo do mówienia, zapewne sarkastycznie, „całe życie mieszkałem w pałacach”.

W zakończeniu mojego opowiadania o tamtych czasach i ludziach, skromnie proponowałem Ricie, wdowie po pisarzu, by dom ten wykupić i zamienić w muzeum literatury, co już wtedy wydawało się dokonane. Dokonało się mimo, że zajęło to pół wieku. Dobrze być świadkiem takich wydarzeń.

Z tego wydarzenia pojawiły się uboczne skutki. Jakiś czas temu (2017) otrzymałem wiadomość z Monachium, z redakcji bardzo znanego wydawnictwa literackiego zwanego „Akzente”, w którym, jak wyjaśniała redaktorka po angielsku, pisywali znakomici pisarze niemiecy. W e-mailu dołączone było kilkustronicowe tłumaczenie mojego opowiadania z Vence, z zapytaniem czy się zgadzam na druk w ich piśmie, i że płacą 20 EUR od strony. Zgodziłem się oczywiście, ale przypomniało mi to, że za wydanie w Wydawnictwie Literackim w Krakowie, płacili przed denominacją w milionach. Nakład 30 tysięcy ładnie wydanych egzemplarzy, 30 lat temu.

Gombrowicz w Vence

Kiedys w latach 70. próbowałem podrywać ładną dziewczynę w Dzielenicy Łacińskiej w Paryżu. Szło opornie, ale kiedy wymieniliśmy nasze pochodzenie po francusku, że ona z Niemiec i studiuje humanistykę, a ja z Polski i... nie dokończyłem wyjaśnienia.

- To skoro jesteś Polakiem, to na pewno znasz Gombrowicza, zapytała, a raczej stwierdziła podchwytliwie studentka z Heildelbergu.

- Nie tylko znam, ale jestem jego studentem, bowiem jestem z Vence.

- Taaak? zapytała podniecona i bardziej przyjazna. Poszliśmy na kawę i dzięki temu opowiadałem jej o tym przez trzy dni i trzy noce.

Bratanek pisarza

W autobusie do Rimini siedział obok mnie jakiś student amerykański. Rozmawialiśmy tak, jak to w podróży, skąd jesteśmy i dokąd jedziemy. Był pierwszy raz w Europie i we Włoszech. Gubił się w tych zabytkach i sztuce, Tyle tego, że nie był w stanie zapamiętać, mimo, że jego rodzina była, jak mówił, z

Europy. Pocieszałem go, że mu pomogę, bo jestem Europejczykiem i artystą.

Dojechalismy do ładnego, pełnego zbytków miasta. Na placyku kręciło się pełno uczniów z sąsiedniego liceum. Przerwa obiadowa. Zawołałem paru na rozmowę. Chciałem mojemu amerykańskiemu studentowi pokazać, że Włosi też się „nie łapią” w tych zabytkach.

- *Di che stile architettonico è questo palazzo* (w jakim stylu jest ten pałac) - pytam tego bardziej rozmownego po włosku. - A co to znaczy? - pyta zdziwiony.

- *Il cretino* - krzyczy drugi - *questo no es un stile, es un banco!* (Kretynie, to nie jest żaden styl, to jest bank). Rzeczywiście na budynku widniał napis *Banco Italiano*.

Mój amerykański student był zadowolony. Okazało się, że miejscowi Włosi też się gubią. Wymieniliśmy na pożegnanie e-maile i adresy. Okazało się, że nazywa się Thomas Mann.

- Mann? - zapytałem zdziwiony, - Tomasz? Tego Manna z Niemiec?

- Tak, bratanek pisarza - odpowiedział skromnie. Zostaliśmy na jakiś czas w kontakcie emailowym. Toteż zapewnienie, że w

„Akzente” pisywał tamten Tomasz Mann uznałem za konsekwencje prawa sensybilizmu, który kilka lat wcześniej wymyśliłem w Wałbrzychu.

Ingeborg Bachmann

Też drukowała w „Akzente”. A jednak. Tu uboczne skutki wiążą się znowu z Gombrowiczem. Była bliską przyjaciółką naszego bohatera. Podziwiała go prywatnie i publicznie, do tego stopnia, że podobno zmieniła swoje imię na Witolda. Mówił o tym opowiadając Mrozkowi na pytanie skąd ma takie dobre pióro.

– To od Witoldy.

Spotkanie

Jadąc kiedyś przez Berlin miałem niezwykle spotkanie z polecenia Gombrowicza. List żelazny. Pozdrowienia i możliwy kontakt z Instytutem Sztuki, gdzie była ważna osoba. Możliwość załatwienia mojej wystawy w Berlinie. Spotkanie było wyjątkowo sympatyczne i pełne emocji. Musiałem wiele opowiadać o Witoldzie i o Vence.

Szkoda, że mojego „Gombrowicza w Vence” napisałem dużo później nie zdając sobie sprawy, że będzie tłumaczone na niemiecki. (Tłumaczyła Marta Kijowska).

Zobacz też:

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence
we Francji

Święty Mikołaj – Cudotworec

List Do Generała Suttera

Adam Lizakowski (*Chicago-Pieszyce*)



General John A. Sutter (1803-1889), ok. 1875 r., fot. The
Huntington Library, Art Museum and Botanical Gardens
Dwadzieścia lat myślę o tym, jak rozpocząć list

o tobie, o twym życiu generale. Kto nie zna ciebie,

kto nigdy o tobie nie słyszał,

komu łzy nie płynęły przy czytaniu

historii twojego życia,

która jest żywą historią Kalifornii,

miasta San Francisco, nie ma prawa nazwać się

K A L I F O R N I J C Z Y K I E M

Kto nie widział twojego fortu w dolinie Sacramento,

kto nie chodził ulicami miasteczka Colomy, nigdy

nie zrozumie, czym była i jest Kalifornia dla milionów

ludzi żyjących marzeniem o lepszym jutrze, lepszym życiu.

Próbowałem coś napisać do ciebie, a jednak dwadzieścia lat

mi to zabrało.

**J O H A N N I E A U G U Ś C I E S U T E R Z
E**

Ty

z pokładu „Esperance” – pierwszego parowca kołowego

z kwadratowymi żaglami

dumnie wpływającego do Nowego Yorku,

Ty

bankrucie, uciekinierze, złodzieju, włóczęgo,

oszuście, mógłbym powiedzieć, że cię kocham.

Uciekłeś z Europy jak szczur.

Kogo

mogłeś okraść, to okradłeś,

kogo

mogłeś oszukać, to oszukałeś,

ktokolwiek

pokładał w tobie

jakiegokolwiek

nadzieje, zawiódł się,

i tak rozpoczyna się cudowna podróż, krwawe życie,

przeklęty los, tysiące wylanych łez, śmierć najbliższych

generała Johanna Augusta Suttera.

Jest niedziela.

P s s s s s s s s s s s s s s s s

Ty

w Nowym Jorku w 1834 roku – rozbitku ze Starego Świata,

Ty

w Nowym Świecie odkrytym dla życiowych rozbitków,

malkontentów, nieudaczników, włóczykijów, straceńców,

którzy całe swoje życie postawili na jedną kartę,

których po świecie gnała romantyczna pasja,

młodzieńcza naiwność, gorąca krew, pragnienie bogactwa,
łatwego życia, taniego wina, pięknych i cudzych kobiet,

Ty

wśród nich, tych niepokornych, pierwszych socjalistów
z Niemiec, pierwszych mistyków z Rosji, pierwszych
zwolenników systemu falansterów z Francji,

Ty

wśród ideologów, których szczują wszystkie policje Europy,
wśród wielkich umysłów epoki i wśród ludzi, którym brakuje
piątej klepki, wśród bandytów z portów Londynu czy
Amsterdamu,

Ty

wśród chłopów ze Szkocji i Irlandii, głodującej Skandynawii,

upośledzonych gospodarczo Włoch, wśród greckich, polskich,
węgierskich patriotów, ofiar wojen napoleońskich,

Ty

z lekkim sercem opuszczasz generale Nowy York,
wschód Ameryki, w dolinie Missisipi też nie zagrzejesz
długo miejsca, skierujesz się na

Z A C H Ó D

Tam,

gdzie miliony bizonów beztrosko gryzie trawę,

gdzie

tysiące chętnych pojechały szukać bogactwa i mało kto wrócił,

jedni

umarli na prerii, drudzy z głodu, z pragnienia,

jedni

umarli na pustyni z gorąca, drudzy w górach z zimna,

innym

Czerwone Twarze zdjęły skalpy z głów.

Generale,

tobie Indianie uratowali życie, oni pierwsi powiedzieli ci

o tym zaczarowanym słowie – miejscu magii i cudowności:

K A L I F O R N I A

Kalifornia od chwili jej odkrycia stanowiła część korony

hiszpańskiej. Była jedną z prowincji wicekrólestwa

hiszpańskiego w Meksyku. W 1839 roku stolicą prowincji

było Monterey liczące 35 tysięcy mieszkańców, w tym

5 tysięcy białych i około 30 tysięcy Indian. Ty jednak

generale wybierasz dolinę Sacramento, osiedlasz się
przy ujściu rzeki Rio de los Americanos, zakładasz
własne państwo – Nową Helwecję, dochodzi do potyczek
z Indianami, wkraczasz na ich tereny łowieckie.

Chwycili za broń, nocami podpalali stogi i stodoły,
za dnia mordowali samotnych pasterzy, kradli bydło,
nie było dnia, żeby nie przyniesiono trupa zabitego
farmera, trupa oskalpowanego drwala lub plantatora,
po wielu trudach i wysiłkach żyjesz jak król,
zwą cię cesarzem, tysiące ludzi pracuje u ciebie
i dla ciebie, niczego ci nie brakuje, chociaż dużo pragniesz,
ludzie o tobie mówią, że jeździsz na białym koniu, siodło
masz ze złota, wędzidło także złote, tak jak i strzemiona,

i ostrogi, nawet podkowy konia są ze złota.

W kraju, w którym mieszkasz, panuje nieustające święto,
wódka całymi dniami leje się strumieniami.

Wielu widzi w tobie przeznaczenie, ojciec Gabriel,
opiekun Indian, którego nauki są znane wśród dzikich plemion,
bo żyje pośród Siuksów, Osagów, Komanczy, Czarnych Stóp,
Węży, Niedźwiedzi, Pum, którego słuchają jak wyroczni,
powiedział: Kapitanie

(wtedy Sutter był jeszcze kapitanem)

kawał historii świata spadło na twoje barki,
ale ciągle mocno się trzymasz. Unieś głowę wysoko, wysoko,
rozejrzyj się wokół. Popatrz na te tysiące młodych i starych ludzi
przybywających tu codziennie, aby pracować nad zdobywaniem

S Z C Z Ę Ś C I A

Z Europy sprowadzasz nowe nasiona, sadzonki drzew owocowych, zakładasz plantacje bawełny, ryżu, indy, winnice, pojawiają się inni biali zwabieni twoim bogactwem i sławą, głównie Rosjanie, Niemcy, Irlandczycy, im dajesz pracę, zatrudniasz zgodnie z ich umiejętnościami, codziennie w porcie San Francisco ładują na statki twoje konie, skóry, talk, pszenicę, mąkę, kukurydzę, suszone mięso, sery, masło, deski, wędzonego łosia, liczne stada pasą się na soczystych łąkach, sady obfitują w owoce, w warzywnikach rosną jarzyny ze starego świata obok roślin tropikalnych, rzędy magnolii, palm, bananowców, drzew kamforowych, pomarańczy, cytrusowych drzewek. Jadło jest znakomite, czego tylko ludzkie podniebienie zapragnie, zakąski, pstrągi i łosie z miejscowych rzek, szynka pieczona na szkocką modłę, udziec sarni, łapy niedźwiedzi, wędzony ozór, faszerowany prosiaczek posypyany mączką z tapioki, reńskie, a także trochę starych win francuskich, które przejechały pół świata i nie zwietrzały, tak o nie dbano.

Do stołu podają najpiękniejsze kobiety z Hawajów i innych wysp,

śliczne Indianki i Metyski, przygrywa orkiestra hawajska,

na końcu, gdy wraca odwaga i pewność siebie, jak każdy emigrant,

któremu się udało, po 14 latach zapraszasz do siebie rodzinę.

R O D Z I N A

W cieniu włoskiej altanki, głaszcząc ulubionego psa,

myślisz o rodzinie, zostawiłeś ją w nędzy:

żonę, trzech synów i córkę,

lecz przez te wszystkie lata o nich myślałeś,

jak każdy emigrant umierałeś za nimi

z tęsknoty w wielkiej samotności będąc częścią zwariowanego

świata ludzi i przedmiotów, marzeń i snów

wymieszanych z rzeczywistością,

gdy nadarzyła się okazja, pomogłeś, zawsze pomagałeś,

czas pomyśleć o rehabilitacji, o honorze, nazwisku,

zanim oni do ciebie dotarli, zanim postawili stopę

na kalifornijskiej ziemi, musieli spłacić twoje długi
w starej ojczyźnie, unieważnić hańbiące wyroki,
wypolerować twój portret w oczach
ludzi, którzy jeszcze żyli, jeszcze cię pamiętali,
pomogły w tym twoje amerykańskie dolary,
które wysyłałeś z każdym miesiącem
więcej i więcej, i więcej, i więcej
aż zostałeś uznanym i szanowanym człowiekiem,
cieszącym się zaufaniem największych banków świata,
lecz
stała się rzecz straszna, sam diabeł spiskował,
wszelkie moce piekielne się sprzysięgły przeciwko tobie,
teraz to widzę i rozumiem i nie ma nic w tym dziwnego,

że na stare lata zostałeś najlepszym interpretatorem Apokalipsy,
pan Marszall

cieśla z New Jersey, budujący młyny dla ciebie, odkrył złoto w
nowo wybudowanym tartaku w Colomie, na twojej ziemi odkryto
żyłę złota, górę złota, morze złota, kopalnie złota, w jednej chwili
stałeś się najbogatszym człowiekiem świata, to co się stało
później, było straszne, złoto cię zrujnowało, złoto zabiło
marzenia, złoto, przeklęte złoto, nie możesz tego zrozumieć
mów:

G O R A C Z K A Z Ł O T A



Kobieta z trzema mężczyznami poszukująca złota podczas

kalifornijskiej gorączki złota, fot. Wikimedia Commons

Ludzie stracili rozum, marynarze uciekali z okrętów, żołnierze z wojska, każdy zamykał swoją chałupę, barak, farmę, warsztat, miasta się wyludniły, stanęły młyny, w jedną noc okradziono mnie ze wszystkiego, garbarnie były puste, skóry gniły w kadziach, pastuchy opuszczali stada, plantatorzy plantacje, zboże gniło w polu, owoce w sadach, w stajniach, oborach stały głodne zwierzęta, wszyscy poszli w góry płukać złoto.

Och Generale!!!

Inni dorabiają się fortuny, nic nie robisz, nie stawiasz przeszkód,
z obojętnością patrzysz, jak zabierają i dzielą twoją ziemię,
nadają sobie tytuły własności, sporządzają nowe mapy,
dewastują twoje mosty, kanały, stawy, śluzy, drogi, młyny,
kto ci za to wszystko zapłaci, kto ci odda choćby małą część,
okradziono cię ze wszystkiego, twoje życie stało się piekłem,
tłum krzyczał:

Te trzy słowa obieły cały świat, znano je wszędzie, w najbardziej oddalonych zakątkach. Z każdego miejsca na kuli ziemskiej wyruszali pojedynczy ludzie, wspólnoty, klany, bandy. Wyruszali do Ziemi Obiecanej, gdzie wystarczyło schylić się, żeby podnieść masę złota, pereł, diamentów, wszyscy dążyli do jednego celu:

E L D O R A D O

Grasują bandyci i złodzieje, walka o życie to prawo silniejszego, strzały w plecy, wieszanie na laso, kopanie leżącego, szeryfem jest pistolet kaliber 45, prawem mocna pieść, wiadomość o złocie jest szybsza od ptaka i konia, ten czy tamten już wyjechał, inni jadą teraz w ślad za nimi, a następni pojedą po nich. Następni, następni, następni... Wielu dorobiło się już milionów. Wszędzie tam jest złoto, zbiera się je łopatami, wystarczy tylko się schylić, mieć mocne plecy do znoszenia worków ze złotem z gór do miasteczek, aby tam zamienić je na whisky i dziewczyny. Złoto to rzecz przeklęta, przekłeci ci wszyscy, którzy tutaj przyjechali, którzy tu przyjeżdżają i ci, którzy będą je wydobywać, bo większość z nich zginie. Życie staje się piekłem, ludzie zabijają się, mordują. Wszyscy oszukują, kradną.

Wielu zwariowało albo popełniło samobójstwo i to dla

Z ł o t a

cały świat generale przewalił się przez twój dom,
twoją ziemię, twoje życie. Tysiące razy myślałeś,
ile to wszystko jest warte, jak długo gorączka złota może trwać,
ile milionów dolarów wydobyto z twojej ziemi,
ile tysięcy ludzi bezprawnie zamieszkało na twoim terytorium,
ilu z nich zostało pochowanych w twoich ogrodach, sadach, na
polach,
ilu z nich złoto uczyniło mordercami, pijakami, straceńcami,

Z ł o t o

przynosi nieszczęście, teraz jesteś tego pewien.

A N T Y C H R Y S T T O Z Ł O T O

Do nóg Generała pada pewna Rosjanka, podczas gdy on
komentuje wizje świętego Jana i opowiada epizody ze swojego
życia. On, najbogatszy człowiek świata, teraz nie ma nic, jego

życie, niedole, niedostatki, cała energia, wola, wytrzymałość, nadzieje, wszystko było niepotrzebne, on nie ma nic, to, co tak kochał: książki, papiery, instrumenty muzyczne, broń, narzędzia, skóry niedźwiedzi i pum, futra, kły morsów, fiszby wielorybów, wypchane ptaki, kolekcje motyli, indiańskie ubiory i wyroby, kolekcje bursztynów, szlachetnych kamieni, wszelkiego rodzaju minerałów, wszystko obróciło się w popiół.

Złoto północnej Kalifornii było jego, teraz wszystko obróciło się w kupkę gorącego popiołu, wszystko to, co było najdroższe, co reprezentuje życie i jest dumą człowieka, uleciało, ze szczytu góry spoglądałeś na ogromny kraj, który użyźniłeś, ogarnięty był grabieżą i ogniem, dochodziły do twoich uszu odgłosy strzałów i cizby, to co było ci tak bliskie i drogie, zamieniło się w

P O P I O Ł Y I Z G L I S Z C Z A

We wrześniu 1850 roku Kalifornia wchodzi w skład Konfederacji

Stanów Zjednoczonych, lecz Waszyngton jest daleko,
na terenach generała powstało dziesięć wielkich miast,
m.in. San Francisco, Sacramento, Fairfield,
setki farm, 1 500 miasteczek i osad,
nie można temu zaradzić, nic zrobić, adwokaci fałszują
dokumenty, wystawiają nowe akty własności,
tylko w samym Nowym Yorku powstało 65 spółek
zajmujących się eksploatacją złóż, zebrany kapitał
sięgał milionów dolarów.

Żona Generała

umarła na progu domu tuż przed przywitaniem się z nim,
córką Mina jest w ciąży, przeszła wstrząs nerwowy,
ma trudności z mówieniem, syn Victor wyruszył w drogę

powrotną do Europy, ale jego statek zaginął

gdzieś na morzu koło Cieśniny Magellana,

drugi syn Artur zginął broniąc swojej farmy,

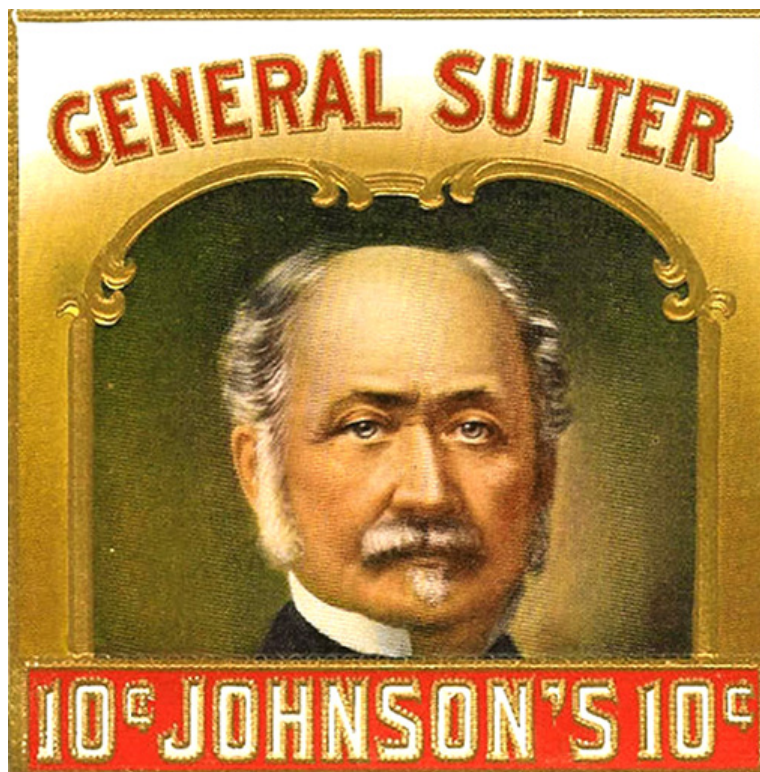
najstarszy syn Emil – adwokat – popełnił samobójstwo

w jakiejś komórce nie będąc w stanie znieść presji otoczenia.

Generale

tak się kończy twoja historia, twojej Kalifornii, Nowej Helwecji,
tak się kończy historia emigranta ze Szwajcarii, najbogatszego
człowieka świata z Kalifornii, żyjącego na zasiłku rządowym,
starego wariata, który podał do sądu rząd Stanów Zjednoczonych
o odszkodowanie na sto milionów dolarów.

Tak się kończy historia najbogatszego człowieka świata. A to
dopiero niezły żart!



Etykieta papierosów z wizerunkiem generała Suttera
Ps.

Generał August Suter (Sutter) umarł w wieku 73 lat 17 czerwca o trzeciej popołudniu w 1880 r. Amerykański Kongres nigdy nie wydał ani orzeczenia, ani oświadczenia przyznającego mu – jako prawowitemu właścicielowi – ziemię, na której odkryto złoto. Generał nie otrzymał odszkodowania za poniesione straty. Również nikt z jego rodziny nigdy nie upomniął się o jakąkolwiek rekompensatę. Jeszcze można działać, jeszcze można żądać. Kto chce złota? Kto chce złota?

Źródła:

Poemat jest z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „156 Listów

poetyckich z Chicago do Pieszyc”, wydane go przez Urząd Miasta i Gminy Pieszycy w 2012 r.

Powyższy tekst został oparty na książce „Złoto” Blaise Cendrasy wydanej przez Noir sur Blanc w 1999 roku w Szwajcarii.

Thank you very much Mr. Cendras.

Zobacz też:

W pogoni za złotem

Refleksja nad wiarą.

Rozważania na Wielkanoc.



Święty Franciszek z Asyżu, Włochy, fot.

JulianaSaldanha z Pixabay

Stefan Król (1937-2015)

Różne są drogi przyjmowania i akceptacji wiary, różne sposoby jego rozumienia. Jest wiara radosna, akceptująca w zachwycie

całe stworzenie, wiara pokornie znosząca krzyż życia, wyrażająca się w hymnach dziękczynienia, jak wiara franciszkańska; jest wiara pełna zdumienia i zaskoczenia: *jest Bóg widziałem Go*, wiara nowonawróconych, jak wiara zmarłego wielkiego przyjaciela Jana Pawła II – Andre Frossarda; jest wiarą codziennych pacierzy porannych i wieczornych, wiara utrudzonego znoju – od świtu do zmierzchu, jak wiara wieśniaków z powieści Reymonta, jest wiara rozterek, wiara ucieczek i powrotów, wiara utracona i odzyskana, jak wiara wielu z nas; jest wreszcie wiara – jednocześnie wiary i niewiary – wiara do konca nieposkromionego buntu, wiara pokonanego sprzeciwu: *Galilejczyku zwyciężyłeś*, jak wiara uczciwych „kibiców” Kościoła; jest jeszcze spychana w podświadomość i odzywająca się tylko w chwilach ciemnych i samotnych wiara zagubiona, gdy – jak w wierszu Jana Twardowskiego – *biorąc tom Lenina z szafy na ręce, szukam zwykłej wiary dziecięcej*.

Racjonalizująca refleksja nad wiarą jest tak stara jak sama wiara. Teologia ma przecież wielowiekową historię, a ojcowie i doktorzy Kościoła to ludzie szczególnie zasłużeni w rozpoznawaniu kompetencji wiary i rozumu, w kształtowaniu naszego powołania życiowego. W dawnej teologii mówiło się: światło wiary i światło rozumu. Ideałem było, aby te dwa światła zlały się w jedno wzmacniające się wzajemnie. W ciągu wieków wytworzyły się nawet pewne tradycje myślenia o wierze. Jeśli wiarę przyjmiemy jako fakt pierwotny, mówimy: wiara szukająca zrozumienia,

umieszczając się tym samym w tradycji sięgającej św. Augustyna. Gdy myślimy że, kierując się światłem rozumu wzbogaciliśmy światło wiary, wtedy święty Tomasz będzie patronem naszej refleksji, a sytuację odnajdywania wiary opiszemy mówiąc: rozum szukający wiary. Kościół katolicki roztropnie akceptuje obie i żyje obu tradycjami. Ważny jest efekt końcowy.

Ten sięgający głęboko w historię podział jest dzisiaj nie tylko nieadekwatny, co nie chwytający współczesnych problemów wiary. Problemem nie jest już wzmocnienie jednego światła przez drugie. Dzisiejsze projekty oświecenia chcą ograniczyć światło wiary do prywatnych przedpokojów – broń Boże nie dopuścić tego światła na place publiczne – na salonach ma królować Liberalny Rozum.

Tymczasem zauważamy, że o dogmat Trójcy Świętej nie kłócą się już dziś przekupki na targu w Konstantynopolu, jak pisał kiedyś Tadeusz Zychiewicz. Na ulicach naszych miast pod osłoną demokracji demonstrują natomiast zwolennicy dwu odmiennych orientacji: zostawić czy odebrać Bogu prawo decydowania o początku i końcu życia ludzkiego; przyznać grzechowi realne istnienie w życiu ludzkim i tym samym dopuścić, aby ludzie grzeszący czuli się winni, czy też pożegnać się bez żalu z grzechem jako nieaktualną już i przebrzmiała umową społeczną, w zamian za to organizować różne tygodnie dumy z czegoś co, jeszcze niedawno było co najmniej wstydem; który Bóg jest

Bogiem dla nas: czy Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz Ewangelii i katolickiej tradycji, czy Bóg demokratów, którego prawa, prerogatywy i obszary nieingerencji regulowane są wolą większości i interesem wyborców.

Wewnątrz Kościoła katolickiego ten „duch czasu” stworzył całkiem spore grupy tzw. „alekatolików”. Ich postawę wyrażają – przykładowo – następujące przekonania: jestem katolikiem, ale nie cenię sakramentu kapłaństwa, solidaryzuję się z bohaterem jednej z bajek Andersa, który miał dziwną chorobę: nie mógł znieść widoku księdza. Gdy tylko jakiś ksiądz nawinął mu się na oczy, dostawał ataku wściekłości. – *Od księży nie może wyjść nic dobrego* – to niestety nie wymyślone, ale realnie wypowiedziane zdanie; jestem katolikiem, ale nie uznaję władzy biskupa mojej diecezji, jestem katolikiem, ale zakres nieomyłności papieża ustalą ja sam w zależności od moich potrzeb; jestem katolikiem, więc uznaję istnienie prawd obowiązujących zawsze i wszędzie, ale moje „tu i teraz” jest tak specyficzne, że prawdy wieczne nie mają tu dostępu, itd. Listę można ciągnąć dalej w zależności od indywidualnych spotkań i doświadczeń.

Rozum walczy z wiarą – a może jeszcze gorzej – ignoruje wiarę, bo wiara urąga rozumowi – takie jest dzisiaj aprobujące przeświadczenie, jeśli nie większościowe, to w każdym razie większościowo powszechne. Dzisiejsza wiara szuka nie tyle zrozumienia co zastosowań.

Co może zrobić tzw. „szary człowiek” jeśli ta troska jest jego udziałem, jeśli nie jest zadowolony z obecnego „duchowego środowiska człowieka”? Chyba tylko to: być autentycznym świadkiem wiary. A to oznacza starać się przywracać blask cnocie i prawdę słowom. Oczywiście nie przywracać „na świecie”, ale w swoim własnym życiu.

Napisałem „blask cnocie” i poczułem się nieswojo. Jakim językiem ja mówię? Od takich słów z daleka czuć zapach naftaliny. Własnie: to, że nie możemy użyć słowa bez cudzysłowu, bez grzecznościowego dystansu w najlepszym przypadku, świadczy nie najlepiej o sytuacji duchowej naszych czasów. Przecież to słowo miało kiedyś aureolę.

W tym felietonie chciałbym przypomnieć cnotę „prostą i łatwą”, cnotę radości.

Przywracać prawdę słowom też trzeba zacząć od najprostrzego kroku: jasnego mówienia. Używać słów raczej „mniejszych” niż „większych”, słowa pełne sensu same będą rosły – takie byłoby pierwsze sposobem belferskim ujęte zalecenie.

Ten aspekt naszego mówienia i dyskusji, nie tylko teologicznych, ale także niektórych kazań niedzielnych, z niesłychaną trafnością uchwycił K.G. Chesterton. By odwołać się do przykładu: *życie cynobityczne*, zamiast; *życie wspólnotowe*, lub: *genialna*

wolnościowa myśl franciszkańska, zamiast: świadectwo św. Franciszka.

A oto Cherteston:

Jeśli swoją wypowiedz zaczniemy od słów; Wszyscy kryminolodzy doceniają społeczną użyteczność bezterminowych wyroków upatrując w nich krok na drodze socjologicznej ewolucji ku bardziej humanitarnemu i naukowemu podejściu do problemu kar, to z powodzeniem możemy godzinami ciągnąć swój dyskurs bez konieczności odwołania się do naszych szarych komórek. Jeśli jednak nasze wstępne zdanie brzmieć będzie: Jones powinien iść do więzienia, a Brown powinien powiedzieć, kiedy Jones ma stamtąd wyjść, to ku własnemu przerażeniu zorientujemy się że musimy myśleć. Długie słowa są wyjęte z ładunku treściwego, to właśnie zwięzłość przydaje im mocy. W wykrzykniku „*Do diabła!*” Zawiera się o wiele więcej metafizycznej subtelności niż w terminie „*degeneracja*”.

Dlatego pewnie tak nas olśniewają teksty, które uwalniają pierwotną moc słów. Dla mnie takim olśnieniem jest publicystyka Hanny Malewskiej. Główny kanon jej publicystyki zawdzięczamy Andrzejowi Sulikowskiemu, który zebrał po różnych czasopismach rozproszone teksty w jeden tom: o

odpowiedzialności i inne szkice (*Hanna Malewska: O odpowiedzialności i inne szkice, oprac. A. Sulikowski, wyd. Znak 1987*).

Hanna Malewska zmarła w 1983 r. Znakomita pisarka polska, znana jest przede wszystkim jako autorka świetnych powieści historycznych. Mniej znana jest jej publicystyka, choć jest to publicystyka najwyższej próby. Najmniej znany jest fakt, że Hanna Malewska była założycielką i wieloletnim redaktorem miesięcznika „Znak”, czasopisma, na którym wychowało się kilka pokoleń inteligencji katolickiej w Polsce. Umiała mówić o wierze nie czytując filozofów, choć oczywiście myśl filozoficzna chrześcijańskiej Europy była jej doskonale znana. W jej osobie wiara szukająca zrozumienia i rozum szukający wiary złączyły się w całość. Jak u św. Tomasza z Akwinu: wiara wieśniaka i wiara wyrafinowanego filozofa stały się identyczne.

Tyle informacji tytułem wstępu do zamieszczonego niżej krótkiego felietonu Malewskiej pt. „Radość Doskonała”:

Kiedy św. Franciszek mówił z bratem Leonem o radości doskonałej, w czasie wspólnej wędrówki z Perugii do Asyżu, brat Leon zdumiewał się. Jak to, więc nawet łaska czynienia cudów nie jest radością doskonałą? Nawet znajomość wszystkiego, co jest w Niebie i na ziemi? Ani nawrócenie do

Chrystuas wszystkich pogan taką wymową, jakby to sam Pan mówił przez usta nasze? „Nie bracie Leonie, owieczko Boża”.
– Więc cóż?

Gdy przyjdziemy w zimną noc pod furtę klasztorną, głodni, bosi, zziębnięci, a furtian nie otworzy, lecz z gniewem powie: „opryszki jakieś jesteście, a nie bracia nasi” – i dalej trzeba będzie stać, znosić głód i chłód; i to że miłość naszą wzięto za podstęp, obłudę – stać i czekać aż ranek wybieleje... – To jest dopiero bracie Leonie radość doskonała.

Prostoduszny brat Leon, nim doszli jeszcze – zrozumiał.
Wszyscy bracia zrozumieli, powtarzali tę rozmowę napełnili nią świat, który przebiegły wszerz i wzdłuż ich bose stopy.

Lecz warto może raz jeszcze wejrzeć w tajemnicę, która dla nich była zbyt trudną tajemnicą: że radość doskonała jest w doskonale zniesionym cierpieniu – i zapytać, o jakim to właściwie cierpieniu była mowa na drodze z Perugii do Asyżu?

Święty Franciszek był poetą; był z ducha błędnych rycerzy średniowiecznego chrześcijaństwa. Bezbronny stawiał czoła sułtanowi, chciał samoofiary misjonarzy w miejsce boju krzyżowców. Ogołocił się ze wszystkiego i zniósł mękę stygmatów. I on, i bracia jego przecierpieli w życiu o wiele

więcej niż chłód jednej nocy i burkliwość jednego zaspanego furtiana, wielu poniosło męczeństwo, więcej jeszcze gotowało się na nie przez całe życie.

A jednak ojciec franciszek idąc z bratem Leonem kamieńistą ścieżyną Umbrii nie męczeństwo, nie trudy misyjne, nie gniewy sułtanów nazwał radością doskonałą. Ale niewielkie właściwie utrapienie. Nie dające nic wyobraźni, nie żądające na pozór wielkiego męstwa. Wszelką strawę zabierającą pysze. Takie, które się może zdarzyć każdemu i co dzień.

„Gdy to zniesiemy bez szemrania...” – radość każdego dnia może być doskonała.

Znieść ochotnie krzywdzące słowa – te najdotkliwsze od swoich – uśmiechnąć się do listopadowej pogody, mieć cierpliwość wobec słabości własnych poranionych nóg i łaknącego drżącego ciała, w milczeniu wyczekać ranka. To wszystko – w imię Chrystusa – dziś jutro i kiedykolwiek się przydarzy. I właściwie nic nadto, bracie Leonie, nie potrzeba.

Wspólna droga z Perugii do Asyżu wystarczyła, aby brat Leon zrozumiał świętego rozmówcę.

Czy my po prawie ośmiu wiekach od tamtej rozmowy, uzbrojeni w analityczne szkiełko i oko „nowoczesności”, znający doskonale różnicę między chrześcijaństwem „starym” i „nowym”, rozprawiający z niekrępującą się pewnością siebie o wolności, godności, powrocie do źródeł, naprawdę rozumiemy świętego Frańciszka? Czy rozumiemy choćby tak, jak nie mający kursów uniwersyteckich, ale pragnący czynić dobrze, brat Leon? Czy przypadkiem nie redukujemy świętego Franciszka do naszych celofanowo-sterylnych wyobrażeń, w których nie ma miejsca na cierpienie? Czy nie zalewa nas wielosłowie? A przede wszystkim: czy potrafimy postawić na serio pytanie brata Leona o radość doskonałą, kiedy dbamy jedynie o przyjemności?

Stefan Król, mieszkający w London, Ontario, zmarły w 2015 r. kanadyjski fizyk i felietonista.

Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora, pani Mariannie Król z Kanady.

Zobacz też:

Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych

Złączył nas czas.

Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem – o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Znakomita Pana sztuka „Maestro” w reż. Kazimierza Dejmka (1983), odbiła się szerokim echem. Jest to opowieść o skrzypku, który po wielu latach pobytu za granicą, chce zorganizować swój jubileusz w Polsce. Podobno inspirował się Pan historią Artura Rubinsteina, który zresztą przy innej okazji pojawił się na jednym z Pana spektakli.

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

Do Artura Rubinsteina żywiłem starą wdzięczność. Otóż w 1966 roku, akurat w czasie obchodzonego w Polsce Millenium dyrektor Jerzy Jasieński, ojciec Ireny Żurowskiej mieszkającej dziś w Toronto, postanowił wystawić w kierowanym przez siebie Teatrze Polskim w Warszawie moją nową sztukę „Derby w Pałacu”. Rzec rozgrywała się w pałacu w Dembowcu, w państwowej stadninie koni, którą kierował dyrektor Roman Karbot. Karbot rozmiłowany w przeszłości przekształcił pałac w Dembowcu w swego rodzaju muzeum konia rasowego w Polsce. W głównej sali stała makiet naturalnej wielkości ogiera, czołowego reproduktora dębowieckiej hodowli. Tej polityce Karbota sprzeciwia się sekretarz Byrczak, który pragnie zmienić Dembowiec w ośrodek rekreacyjny, a część koni sprzedać wysoko

za dewizy. Wprowadza do pałacu swoich robotników, których wyrzuca Karbot. Nabywcą koni jest hrabia Zygmunt Dembopolski, przedwojenny właściciel Dębowca, który w tym celu po raz pierwszy po wojnie przyjeżdża do Polski z Toronto. Pisząc w 1965 roku tę sztukę szukałem na mapie dźwięcznej nazwy miasta i do głowy mi nie przyszło, że za dwadzieścia lat sam wyląduję w Toronto, tak jak mój bohater. Hrabia Dembopolski, którego znakomicie zagrał Władysław Hańcza, widząc po środku kukłę konia naturalnej wielkości nie omieszkał powiedzieć:

- To pięknie. Mnie wyrzuciliście z pałacu w 1945 roku po to, by moje miejsce zajął wypchany ogier. Zaiste koński żart historii. - „Domator” to czołowy reproduktor naszej dembowieckiej hodowli. Znają go hodowcy w każdej księdze stadnej! - mówi Karbot - A mnie w każdym herbarzu polskim - odpowiada Hrabia - Ale nikt mnie z tego powodu nie wypchał i nie ustawił po środku pałacu. - Zabawne - kpi dalej hrabia - Koń powinien być rasowy, a człowiek nie powinien być rasistą. Geny i genealogia furda! Na śmietnik! A w życiu liczy się rasa! Krew! Kto cię począł, człowieku? ! Oto fundamentalne pytanie naszych czasów!

Następnie hrabia Zygmunt wspomina wraz ze swoim kamerdynerem Józefem, który dalej pracuje w Dębowcu, dzień, kiedy w 1945 roku opuszczał pałac - *Obeszliśmy dookoła pałac - mówi Józef - a następnie pan hrabia spytał: - Czy ja tu jeszcze*

wrócę, Józefie? – Wróci pan hrabia! Przecież Bóg jest w niebie! – odparłem. – Pan hrabia wyciągnął rękę na Wschód skąd grzmiało i rzekł: – Nie, Józefie. Nie wrócę. Azja nadchodzi. – I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.

Kamerdynera Józefa grał wyśmienicie Bronisław Pawlik. Po kwestii „Azja nadchodzi!” otrzymywał gromkie brawa, które spokojnie przeczekiwał i dodawał. „I rzeczywiście”. Tu znów dostawał brawa. Po dużej pauzie mówił dalszy tekst. Po pierwszym akcie sztuki, wpadł do mojej łóż zdenerwowany dyrektor Jasieński i powiedział: – *Niedobrze, panie Jarku. Zenon Kliszko ani razu się nie uśmiechnął i bardzo mu się te oklaski na sali nie podobają.* Kliszko był drugą osobą w państwie po Władysławie Gomułce i kierował całą polityką kulturalną w partii – *To rzeczywiście niedobrze, panie dyrektorze – przyznałem – No, tak – rzekł Jasieński. – Ale jest nadzieja. Córce Kliszki sztuka się bardzo podoba, śmieje się i klaszcze, to może ona go przekona.* Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dalej aktorzy grali jak na skrzydłach i odnieśli wielki sukces. Publiczność wstała i zgotowała im brawa na stojąco. Ja byłem wywoływany na scenę. Ale los sztuki i dyrektora Jasieńskiego wisiał na włosku.

W niedługim czasie po premierze władze partyjne zdjęły go z tej dykcji, dostał tak zwanego kopa w górę i mianowano go dyrektorem Teatru Wielkiego w budowie. I w tej niepewnej sytuacji mojej sztuki, we wrześniu 1966 roku przyjechał z wizytą

Artur Rubinstein i mój starszy kolega z radia, kierownik działu muzyki poważnej Roman Jasiński, stary przyjaciel Rubinsteina, zaprowadzi go na moje „Derby w pałacu”. I w wywiadzie udzielonym reporterce „Expresu Wieczornego” na pytanie co widział w Warszawie mistrz odpowiedział: – *Widziałem w Teatrze Polskim sztukę Abramowa „Derby w pałacu” i bardzo mi się podobała.* To zdanie wielkiego pianisty bardzo wzmocniło niepewną sytuację sztuki. Dopiero w grudniu tego roku, po sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach przy bitych kompletach na sali sztukę kazano wyciszyć. Tak to się wtedy nazywało. Bezpośrednią przyczyną zdjęcia „Derbów” z afisza było oddanie legitymacji partyjnej przez mojego Ojca po tak zwanej sprawie Leszka Kołakowskiego.



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

W dziesięciolecie polskiego Października 1956 Leszek Kołakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w ostrych słowach potępił odejście ekipy Gomułki od ideałów socjalizmu z ludzką twarzą, za co został usunięty z partii. Władze powołały specjalną Komisję Partyjną na czele z Zenonem Kliszko, która puszczała taśmę z nagraniem tego przemówienia i kazała się pisarzom partyjnym do niego ustosunkować, oczekując

oczywiście potępienia Kołakowskiego. Po przesłuchaniu taśmy Ojciec odparł, że w zasadzie zgadza się z Kołakowskim.

Kołakowski nie powiedział nic nowego. – *Jak to!?* – obruszył się Kliszko i zaczął bronić polityki kulturalnej partii i systemu sprawiedliwości społecznej. – *A wie, towarzysz, ile kosztuje sprawiedliwość społeczna na Mazurach w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom!?* – Nie – rzekł Kliszko. – *Pięćset złotych. Bo tyle wynosi łapówka, którą się daje sędziemu. I to wie każdy mieszkaniec we wsi.*

Tego było za wiele. Kliszko już tego nie wytrzymał: – *Niedaleko spada jabłko od jabłoni* – warknął zły przypominając sobie o moich „Derbach”. Ojciec zaś żeby uprzedzić decyzję partii sam złożył legitymację partyjną w Związku Literatów Polskich.

Opowiedziałem historię „Derbów w pałacu”, a Pani pytała mnie o sztukę „Maestro”.

Historia tej sztuki jest niezwykle interesująca. Rzeczy, które się działy wokół niej, wiele mówią o tamtych czasach. A powracając do późniejszej sztuki „Maestro”, Artur Rubinstein już nie zdążył jej obejrzeć.

Ale żył jeszcze w czasie gdy pisałem „Maestro” i czytałem jego pamiętniki. Jemu zresztą dedykowałem tę sztukę. Bohaterem jej był światowej sławy skrzypek Orland Steinberg, który w stanie

wojennym postanowił obchodzić swoje stulecie w Polsce, w której się urodził. Władze PRL pragną wykorzystać ten fakt propagandowo w celu zniesienia zachodnich sankcji dla Polski. Chcą jednak wizytę tę w pełni kontrolować. Mistrza zamierzają ugościć w pałacu w Wilanowie.

Czyli jest to już druga sztuka Pana, która rozgrywała się w pałacu.

No, właśnie. Był już taki precedens w rzeczywistości. Otóż gdy przyjechał z wizytą do Polski prezydent Francji generał Charles de Gaulle, I Sekretarz PZPR Edward Gierek kazał go umieścić w pałacu w Wilanowie. Edward Gierek w młodości był górnikiem w Belgii i jako jedyny przywódca w socjalistycznym obozie mówił po francusku. Jako ciekawostkę dodam, że słynna firma cukiernicza „Bliklego” wysłała generałowi do Wilanowa paczkę pączków. W czasie wojny bolszewickiej w 1920 roku młody major Charles de Gaulle był we francuskiej misji wojskowej w Warszawie i bardzo lubił jeść pączki w kawiarni „Bliklego” na Nowym Świecie.

W moim „Maestro” władze PRL zmieniają, na czas wizyty mistrza, dyrektora muzeum w Wilanowie i dają swojego człowieka wiadomych służb. Orland Steinberg pragnie się zobaczyć z dawnymi przyjaciółmi, których nazywa Ostatnimi Mohikanami. Wśród tych Indian jest pierwsza żona Orlanda,

słynna diva operowa Ksawera zwana Kseną. Mistrz przyjeżdża ze swoją piątą żoną, Eleonorą, emigrantką marcową. Rolę Kseny Kazimierz Dejmek powierzył Ninie Andrycz. W żartach mi powtórzył, że jak na pierwszej próbie aktorzy przeczytali tekst, to Nina Andrycz powiedziała: – *Panie dyrektorze. Ja nigdy w życiu nie grałam w epizodach.* – *Ależ pani Nino, to nie jest epizod!* – odparłem. – *Tylko co?* – *Duża rola* – odparłem. – *Jak to duża!? Nie ma mnie zupełnie w trzecim akcie. Publiczność zdąży o mnie zapomnieć.* I tu bestia miała rację. Tak więc, drogi autorze, musi Pan dopisać jej parę zdań w trzecim akcie, żeby mogła wyjść śmiało do ukłonów. Oczywiście chętnie się zgodziłem. I Nina Andrycz w trzecim akcie wychodziła w pięknym futrze od Mao-tse-tunga, które dostała w Pekinie od przywódcy Chin, podczas bratniej wizyty przyjaźni, ze swym mężem premierem Józefem Cyrankiewiczem i z dumą mówiła: – *Stara Warszawa to ja!* – zbierając gęste brawa.

Przed rozpoczęciem prób zaprosiła mnie do siebie do mieszkania w Alei Róż w Warszawie, żeby poprawić tekst, aby „stał się bardziej mowny” – jak powiedziała. Mimo, że uważałem siebie za specjalistę od dialogu te wszystkie jej drobne poprawki uznałem za słuszne. Miała świetny teatralny słuch. Głównego bohatera Orlanda Steinberga zagrał Ignacy Machowski. Był to znakomity aktor, tyle tylko, że miał nieszczęście zagrać rolę Lenina, do którego był bardzo podobny. Dejmek jednak obiecał, że go się ucharakteryzuje i nie będzie znać tego podobieństwa. I

rzeczywiście. Z włosami i siwą, krótką brodą Ignacy Machowski wyglądał jak Hemingway.

Na koniec powiem Pani rzecz niezwykłą. Otóż w kilkanaście lat od premiery „Maestro” Alina Janowska zaprosiła mnie do Szkoły Muzycznej na Żoliborzu w Warszawie, którą jako radna się opiekowała. I tam podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – *Pan mnie sobie nie przypomina. Jestem żoną Igo Machowskiego. Maestro w Pana sztuce!* – *Ach, oczywiście* – potaknałem przypominając sobie, że Machowski się w tym czasie ożenił. – *No, właśnie. A to jest jego córka. Bardzo utalentowana skrzypaczka, która wystąpi niedługo z koncertem w Filharmonii Narodowej* – przedstawiła mi młodą dziewczynę. I co Pani na to, pani Joanno!? Rola wielkiego skrzypka to sprawiła? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni”, 1975 r., słuchowisko radiowe

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała, że w latach 70. otrzymał Pan nagrodę Teatru Telewizji, w którym pracowała w redakcji repertuaru, organizując konkursy, prowadząc biuletyn Teatru TV. Mówiła, że kiedy ogłaszany był konkurs na sztukę teatralną, Pana sztuki zawsze znacząco się wyróżniały na tle innych

przysyłanych tekstów, od razu się czuło, że są napisane i przemyślane przez znakomitego dramaturga. Jak przypomina Pan sobie ten czas?

Z panią Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rzeczywiście poznałem się w Telewizji w Warszawie kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. W 1967 roku napisałem dwie jednoaktówki „Zebek” i „Wrotek” według opowiadań Marka Nowakowskiego pod tym samym tytułem. Połączyłem je w całość pod wspólnym tytułem „Swojacy”. Agnieszka Osiecka dopisała piosenkę. „Swojakami” zainteresował się Janusz Warmiński, dyrektor Teatru „Ateneum” i chciał wystawić ich na małej scenie swego teatru. Bardzo się z Markiem ucieszyliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do teatru i ze smutną miną oświadczył, że nie uzyskał zgody z Urzędu Miasta na wystawienie tej sztuki. Bardzo żałowałem, bo mogło to być dobre przedstawienie. W czasie pierwszej „Solidarności” Telewizja zainteresowała się „Zebkiem” i chciała go zagrać w swoim teatrze. Otrzymał chyba nawet jakąś nagrodę. Wszystko przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. A z panią Aleksandrą później spotkałem się w Toronto, gdzie przebywała na stypendium.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała też o procesie Melchiora Wańkowicza, w którym Pana ojciec występował jako świadek obrony. Proszę o tym opowiedzieć.

To jest właśnie jeden z pisarzy o lwim piórze w PRL. W 1964 roku opublikowany został krótki list trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i intelektualistów, w tym Wańkowicza, do władz państwowych z apelem o zmianę polityki kulturalnej i złagodzenie działalności cenzury. List ten odczytany został w rozgłośni Radia Wolna Europa i stał się powszechnie znany. Wańkowicz oskarżony został o to, że przekazał ten list do RWE i pisał wrogie teksty szkodzące Polsce Ludowej. Wytoczono mu proces sądowy. Wańkowicz nie skorzystał z adwokata i sam się bronił. Poprosił też na świadka obrony swojego Ojca. Tata w swoim wystąpieniu jako jedyny na sali stanął po jego stronie. Powiedział, że posadzenie na ławie oskarżonych wybitnego pisarza w kajdankach między dwoma milicjantami nie jest dobrym pomysłem i nigdy jeszcze nie przyniosło pożądanych efektów. I im wcześniej Melchior Wańkowicz zostanie zwolniony tym lepiej. Bo nikt jeszcze nie wygrał z człowiekiem pióra. Obok Ojca wystąpili jeszcze pisarze Kazimierz Koźniewski i Bohdan Czeszko i potwierdzili zarzuty stawiane oskarżonemu. Wańkowicz zaprzeczał kontaktom z Wolną Europą i twierdził, że list 34 krążył po Warszawie i mógł być przekazany przez kogoś innego. Po swoim uwolnieniu (dostał wyrok w zawieszeniu) był niezwykle wdzięczny Ojcu za jego obronę na procesie i niemal do końca życia na swoje imieniny zapraszał Ojca na litewską nalewkę robioną przez siebie.

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z

doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja - pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk”, „Pan Zdzich w Kanadzie”, czy historia rodziny Wawrów - polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę”. Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

Rzeczywiście tak się stało. W kraju byłem przede wszystkim satyrykiem i dramatopisarzem. Do 1975 roku podpisywałem się tylko Jarosław Abramow, chcąc się odróżnić od mojego Ojca. Ale kiedy miałem już swoją własną ustaloną pozycję literacką spytałem Ojca, czy mogę użyć drugiego nazwiska Newerly. Ojciec bardzo się ucieszył i zażartował: - *A ja myślałem, synu, że ty się mnie po prostu wstydzisz?* W ten sposób podkreślona została tradycja rodzinna. Moja Żona Wanda, która po doktoracie z wirusologii pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie otrzymała propozycję pracy w Kanadzie najpierw na Uniwersytecie w Kingston, a potem w Toronto. Byliśmy oboje bardzo zmęczeni stanem wojennym i postanowiliśmy trochę

odetchnąć świeżym powietrzem w Kanadzie pachnącej żywicą. Znałem ją tylko z książek podróżniczych Arkadego Fiedlera. W Kingston przebywała młodsza siostra Wandy, Danuta Kozbór – Fogelberg, która po doktoracie przeniosła się do Filadelfii i pracowała w słynnym Wistar Institute kierowanym przez naszego rodaka, wynalazcę doustnej szczepionki przeciw polio, chorobie Heine-Medina profesora Hilarego Koprowskiego.

Do Kanady wyjechaliśmy sami zostawiając u Babci Heleny Kozbórowej naszą małą córeczkę Marysię. Po roku Babcia Helena z Marysią do nas przyjechała. Nie zamierzaliśmy długo zostać w Kanadzie. Jak laboratorium Wandy prowadzone przez profesor Johna Roderę przeniosło się z Kingston do Toronto, pozostawała sprawa mieszkania. I w jego znalezieniu pomógł mi STS.

W jaki sposób?

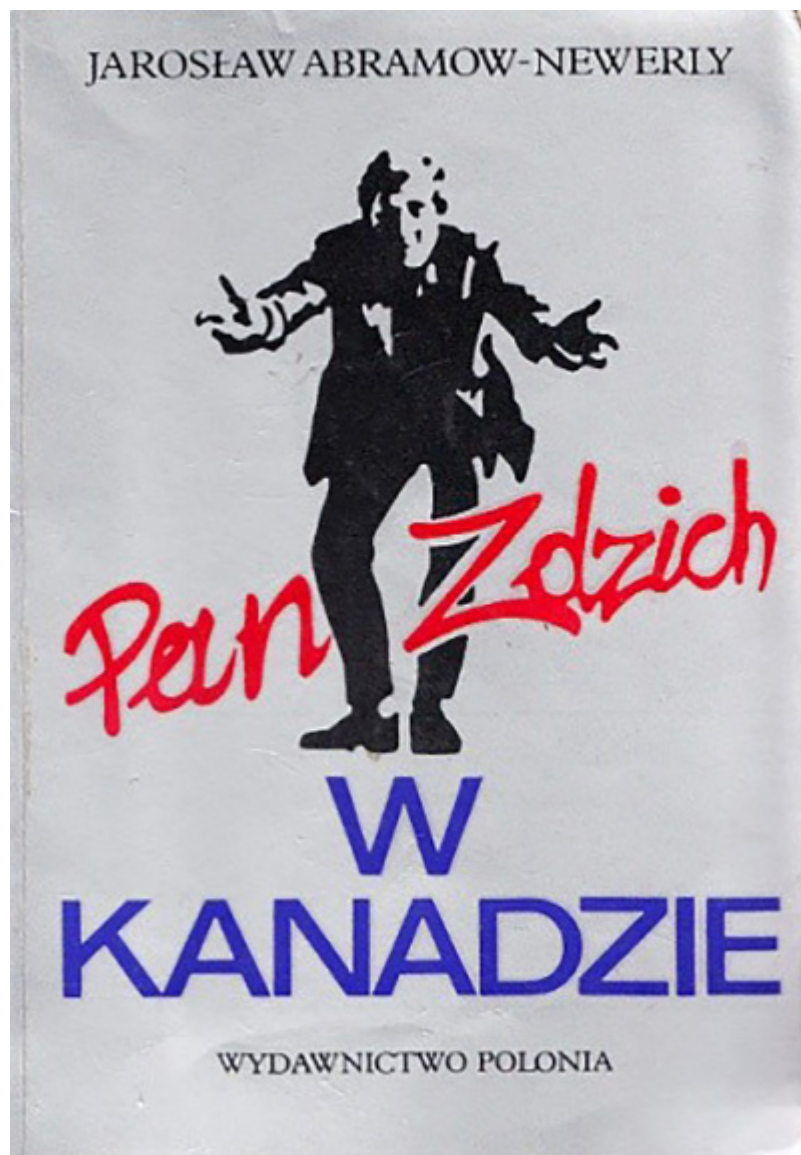
Bardzo prosty. Znany reżyser Tadeusz Jaworski, którego mi polecił Janusz Warmiński, jak wyjeżdżałem do Kanady, powiedział mi, że Krzysztof Topolski bardzo chce mnie zobaczyć. – Nie znam żadnego Krzysztofa Topolskiego – odparłem – Ale on mówi, że ciebie zna z STS-u. Umówiłem się z Topolskim. Na spotkanie stawił się młody, przystojny człowiek i przedstawił się. – Pan o mnie nie słyszał, ale ja jestem bratem Marysi Wichrzyckiej, żony Wojtka Wichrzyckiego. A ich pan z STS-u

dobrze zna! – Oczywiście. A oni są tu? – Jak najbardziej. Zaraz Pana do nich zaprowadzę. Wojtek Wichrzycki pracował u nas w STS-e w brygadzie technicznej, z zawodu był inżynierem i powszechnie był lubiany. Spadli więc mi jak z nieba.

Ucałowaliśmy się z Wojtkami serdecznie – Ja zmieniłem tu swoje trudne do wymówienia przez Kanadyjczyków polskie nazwisko Wichrzycki na Topperman, rodowe nazwisko rodziców Marysi – śmiał się Wojtek – W Toronto jest wielki przedsiębiorca Tepperman i często mnie z nim mylą – powiedział. Wojtek był jedynym chyba Polakiem, który ze względu na pochodzenie żony zdecydował się pozostać za granicą, a pracował wtedy jako inżynier drogowy w Iraku i chciał zaprotestować w ten sposób przeciw antysemitkiej nagonce prowadzonej w Polsce przez generała Moczara.

*Wracając do mojego mieszkania, to Krzysztof Topolski postanowił się tym zająć. Sam pracował jako sprzedawca używanych samochodów w *Automotiv Clearance Center* i miał wielką siłę przebicia. Dowiedział się, że pracownikom Uniwersytetu w Toronto przysługuje duży blok mieszkalny, gdzie mieszkania są ulgowe. Ponieważ laboratorium badawcze Johna Roderera w *Mount Sinai Hospital* należało do Uniwersytetu, Wandzie to mieszkanie w pełni przysługiwało. Udaliśmy się razem z Krzyśkiem do administracji tego domu i Krzysiek ze swadą przedstawił mnie jak przyszłego laureata Nagrody Nobla, a Wandę jako Marię Skłodowską-Curie. Oczarowana jego*

elokwencją administratorka, pani Nicolson, bez trudu nam to ulgowe mieszkanie przyznała. W ten sposób zamieszkaliśmy w dużym wieżowcu przy 35 Charles Street. Zaraz po naszym wprowadzeniu zapukał do naszych drzwi młody człowiek, który przedstawił się: – *Nazywam się Jerzy Barankiewicz. Słyszałem, że do tego mieszkania sprowadzili się Polacy. Jeżeli mogę Państwu w czymś pomóc to służę swoją osobą. Proszę się nie krępować* – zaoferował się. Tak poznałem Jurka Barankiewicza, doktora biochemii, z którym do dziś jestem w wielkiej przyjaźni.



Zacząłem chodzić na lekcja angielskiego, które prowadzone były za darmo w domu parafialnym przy kościele na Charles Street. Tam poznałem przebojowego młodego Polaka, który bardzo narzekał na niską zabudowę domów w Toronto: – *To domki jak z westernu, proę pana* – mówił z wyższością. Współpracowałem już wtedy z polonijną gazetą „Związkowiec”, gdzie pod pseudonimem pisałem felietony i przyniosłem artykuł o tym młodym człowieku, którego nazwałem Zdzichem. Tekst ten bardzo się w redakcji spodobał i Robert Długoborski, którego znałem jeszcze z radia w Warszawie, zaproponował, żebym pisał tak dalej. W ten sposób w tygodniowych odcinkach powstał „Pan Zdzich w Kanadzie”, którego pisałem pod pseudonimem Marian Radomski. I na spotkaniu świątecznym w „Związkowcu” podszedł do mnie działacz Związku Polaków w Kanadzie i spytał: – *Pan Radomski?* – *Tak* – odparłem ze śmiechem. – *Ja jestem też Radomski* – oświadczył – *Panie! Co ja mam przez tego Pańskiego „Pana Zdzicha”!* *Wszyscy myślą, że ja go piszę.*

Muszę przyznać, że cała redakcja „Związkowca” zachowała się bardzo ładnie i nikomu nie zdradziła, że to ja go piszę. Konspiracja więc była pełna. Miałem polski paszport i nie chciałem zrywać więzi z Krajem. Przy pisaniu tej książki wykorzystałem wszystkie swoje satyryczne doświadczenia jako autor STS, dlatego jest pełen humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że dosłownie za parę lat, w 1989 roku, dojdą w Polsce i na świecie takie zmiany, że będę go mógł podpisywać swoim

nazwiskiem i będzie nadawany w Kraju w popularnej audycji radiowej „Cztery pory roku” w znakomitej interpretacji Mariana Kociniaka. To w 1986 roku było nie do pomyślenia.

Na emigracji powstała również doskonała trylogia biograficzna „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. „Lwy mojego podwórka” to jedna z lepszych książek o powstaniu warszawskim, jakie czytałam w życiu. To historyczne wydarzenia pokazane z perspektywy dziecka. Pojawia się tam m.in. postać rotmistrza Witolda Pileckiego, który uratował życie Pana mamie i Panu. Proszę o tym opowiedzieć.

Początek „Lwów mojego podwórka” miał też w „Związkowcu”, gdzie napisałem duży tekst „Moja III Kolonia”. Potem podczas pisania mojej polsko-ukraińskiej sagi „Nawiało nam burzę” bohater książki Leszek Wawrów gorąco mnie namawiał, żebym napisał swoją autobiograficzną książkę. I tak prawie równoległe do powstania „Nawiało nam burzę” ukazały się w 2000 roku w Wydawnictwie „Twój styl” „Lwy mojego podwórka”.

Książka miała bardzo duży odzew czytelnicy. Zwłaszcza na Żoliborzu. Dyrektor Wydawnictwa Andrzej Rosner mówił mi, że z biblioteki na Żoliborzu zadzwoniono do niego z prośbą o drugą książkę „Lwów”, bo w bibliotece ustawiają się do niej kolejki. Żył jeszcze wtedy dużo moich kolegów z podwórka. Dziś żyje już

tylko ja i Krystyna Brzezińska Lindenberg. Mało coś nas, kurka wodna. Powtarzam za Ryśkiem Praczem.

Wracając do Pani pytania to w 2000 roku jedynie nieliczni ludzie w Polsce wiedzieli kto to jest Witold Pilecki. Syn Witolda Pileckiego, mój kolega Andrzej Pilecki przyszedł do mnie do domu podziękować, że wspomniałem o jego ojcu, przyniósł też fotografię ojca, którą zamieściłem w drugim wydaniu książki. Z czasem o Pileckim stało się głośno, i brytyjski reporter Jack Fairweather wydał o nim książkę w 2019 roku pod tytułem „The Volunteer”. W 2020 roku ukazało się polskie wydanie tej książki zatytułowane „Ochotnik” w wydawnictwie „Znak”. Spotkałem się parokrotnie z Jackiem Fairweatherem, opowiedziałem mu w jakich okolicznościach poznałem Witolda Pileckiego.

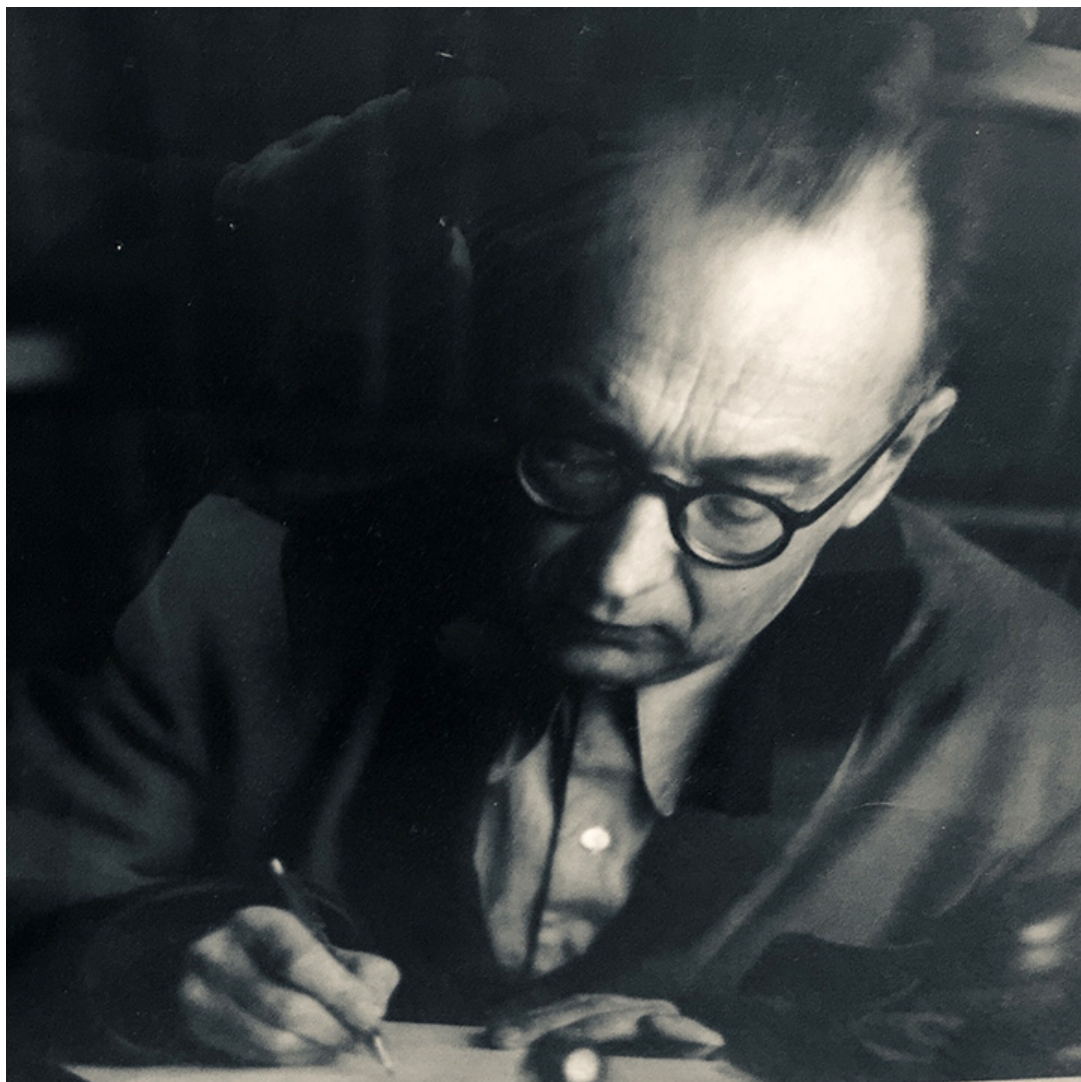
W 1943 roku, już po aresztowaniu mego Ojca i osadzeniu Go w obozie koncentracyjnym na Majdanku, zjawiał się u nas żydowski szmalcownik, który przedstawił się jako przyjaciel Lejzora Czarnobrody, którego mój Ojciec pomógł ukryć na wsi, za co w 1983 roku przyznano mu Drzewko Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie. Otóż szmalcownik ten zaczął moją Mamę szantażować, że jeżeli nie otrzyma odpowiedniej sumy pieniężnej to nas wyda na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Zdenerwowana Mama pobiegła do naszych przyjaciół na III Kolonii Aleksandry i Aleksandra Palińskich, gdzie przychodził na obiady Major, czyli Witold Pilecki i

opowiedziała mu o tym. Pilecki uspokoił ją i przyrzekł, że się tą sprawą zajmie. I rzeczywiście zajął się, bo od tej pory ten szmalcownik do nas przestał przychodzić. Najpewniej został zlikwidowany.

Po wojnie w 1948 roku zgłosiła się do mojej Mamy kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka Witolda Pileckiego i błagała Mamę, żeby pomogła załatwić prawo łaski u Bolesława Bieruta, tak, żeby Witold Pilecki uniknął kary śmierci. Mama nie знаła Bieruta, ale przed wojną jako panna wynajmowała mieszkanie u Janiny Bierutowej, pierwszej żony Bolesława Bieruta. Jako nauczycielka śpiewu w szkole RTPD uczyła też dwoje dzieci Bolesława Bieruta Isię i Janka. Zabawne też było, że Bierutowa skarżyła się Mamie, że Bolek, który przebywał wtedy w Moskwie, zdradza ją z niejaką Małgorzatą Fornalską. W tym mieszkaniu u Bierutowej na II Kolonii WSM składał wizyty Mamie mój Ojciec.

Po Jego wyjściu Bierutowa powiedziała do Mamy: *- I na co pani Panno Basiu taki stary mąż? Młoda, ładna panna może sobie poszukać młodszego.* Mama się roześmiała. Ojciec wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Ale zapuścił brodę, nosił długie włosy i wyglądał bardzo poważnie. Mama kazała Ojcu zgolić brodę i jak następnym razem przyszedł do Mamy to zdziwiona Bierutowa powiedziała: *- No, tak. Teraz widzę, że to młody człowiek.* Ja też Janinę Bierutową znałem, bo była u nas w przedszkolu RTPD woźną. Zapamiętałem ją jak chodzi z kubłami i szczotką. a za nią

biegną nasze przedszkolne dwa psy Morus i Totka. Mama postanowiła natychmiast pójść do Bierutowej i przedstawić jej sprawę Pileckiego. Bierutowa nie była już woźną w przedszkolu tylko wysoką inspektorką w ministerstwie Oświaty. Przyjęła Mamę bardzo serdecznie i obiecała pomóc. Kiedy następnym razem Mama się z nią spotkała powiedziała ze smutkiem: – *Niestety pani Basiu nic mi się nie udało zrobić. Bolek odparł, że to jest sprawa polityczna i nie skorzysta z prawa łaski.* Tak więc niezłomny rotmistrz Witold Pilecki został rozstrzelany w 1948 roku. Jego kroki na dziedzińcu, jak prowadzą go do celi śmierci słyszał inny więzień Mokotowa, mój przyjaciel Janusz Krasiński, który opisał to w książce „Na stracenie”.



Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski

W magazynie „Culture Avenue” opublikował Pan dwa fragmenty książki „Ich lwi pazur” o polskim środowisku literackim. Czy może Pan coś więcej powiedzieć o tej książce?

Teraz zmieniłem ten tytuł na „Piórem, z lwim pazurem”. W tej książce wspominam moich przyjaciół pisarzy mojego pokolenia: Włodzimierza Odojewskiego, Janusza Krasińskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego Sito, Andrzeja Jareckiego, Władysława Terleckiego, Kazimierza Orłosa, Jerzego Krzysztonia i wielu

innych. Oprócz ich portretów starałem się pokazać jak wielką rolę w PRL odegrała mała sala Związku Literatów Polskich w Warszawie w walce o niezależność ludzi pióra i wolność słowa. Książka zaczyna się w 1960 roku z chwilą mojego przyścia do radia, a kończy się teraz. Z perspektywy czasu widzę, że wielu pisarzy pokazało władzom partyjnym taki lwi pazur, dość że wspomnę tu chociażby Janusza Szpotańskiego, który za swoją bezkompromisową szopkę satyryczną na ekipę rządową Władysława Gomułki odsiedział trzy lata więzienia. Bardzo dokładnie opisuję w tej książce moją pracę w Polskim Radio, które przeżywało wtedy swój złoty okres. Wtedy narodziła się polska szkoła słuchowiska radiowego. Moja książka wciąż znajduje się w redakcji u redaktora Huberta Musiała, ale myślę, że w tym roku wyjdzie w wydawnictwie PIW.

Ukazały się też pana wspomnienia o wyjazdach z ojcem na wakacje p.t. „Mój dąb w Suwałkach”. Jednocześnie w 2019 r. wyszła książka Marka Boruckiego „Wybitne dzieci sławnych Polaków”, w której jest rozdział o Pana ojcu Igorze Newerlym i Panu. Jakie relacje łączyły Pana z ojcem? Czy był on dla pana wzorcem literackim?

Bardzo ciekawa książka Marka Boruckiego sprawiła mi ogromną radość. Znaleźć się wśród dwudziestu czterech rodów tak sławnych Polaków jak Aleksander Fredro, Stanisław Moniuszko, Zofia Nałkowska, Jacek Malczewski, Józef Chełmoński, Józef

Conrad – Korzeniowski czy Stanisław Wyspiański to prawdziwy zaszczyt. Jestem w tej książce jedynym żyjącym wybitnym dzieckiem. Marek Borucki pokazuje w swej książce, jak trudno jest udźwignąć dzieciom ciężar sławy swoich wielkich ojców. Doświadczyłem tego sam na sobie dlatego tak dobrze rozumiem świetnego malarza Rafała Malczewskiego, który pędzłem starałem się odróżnić od swojego sławnego ojca. Ja, jak już wspomniałem, nie używałem nazwiska mojego Ojca to 1975 roku. W poczuciu własnej wartości uratował mnie teatr STS i dramaturgia radiowa i teatralna. To była moja mała wyspa ocalenia.

Przygotowując nasze spotkanie rozmawiałam z prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) - Henryką Mielczanowską, która jest kuratorem wystawy Edwarda Barana - artysty mieszkającego we Francji. Opowiadała, że Edward Baran wielokrotnie wspominał STS, cytując z pamięci teksty i śpiewając piosenki. Czy Pan go pamięta?

No jakżesz. Oczywiście. Wiedziałem, że wyjechał do Francji. Wysoki blondyn. Przez wiele lat pracował w STS-e i był bardzo lubiany. Zaprzyjaźniony z Wojtkiem Wicherzyckim, o którym wspomniałem. Pozdrawiam Cię najmocniej kochany Edziu i ogromnie się cieszę, że się odezwałeś.

W rozmowie, którą wykorzystałam w książce „Teatr spełnionych nadziei” powiedział Pan: - W Toronto mam

taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. Czy nadal Toronto, to Pana wyspa?

Tak. Mam tylko do dodania to, że wierny przyjaciel moich codziennych spacerów, pies corgy, nazwany na cześć Franka Sinatry, którego piosenki Wandzia uwielbiała, zmarł niestety w marcu 2020 roku w sędziwym psim wieku piętnastu i pół lat. Kiedy w klinice weterynaryjnej na pytanie jak się nazywa pies Wandzia mówiła: – *Franky. Jak Frank Sinatra*, wzbudzała tym zawsze salwy śmiechu. Franek był bardzo popularny w wieżowcu, w którym mieszkam. Jak sąsiedzi zobaczyli mnie samego zaraz pytali – *A gdzie Franky?* Gdy odpowiadałem, że nie żyję głęboko mi współczuli. Teraz jestem sam na mojej wyspie i jedynym ratunkiem jest pisanie.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwała oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

*„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław
Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka*

Część 1:

Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Z rodzinnego albumu.
Z duchami w tle.



Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku.

Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzemiościły się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do

dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymywał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szuldrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja. Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np. Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibuлки, zapewne przez guwernantkę. Iko – długi język przyczepiany co brody, a Tunio – knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? – nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej

kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? – Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas”, nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywistości był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek słusznie był oburzony i zawstydzony moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządzało się „herbatki” bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki” na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki” sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy

w Czumowie, na który pojechała Ela.



Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki

Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne, kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera, z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotylionowego walca”, a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę”, nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażyono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane,

drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy (makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drągala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zmiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim

zaginął Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę.
Podczas tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież.
Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stół bez gwoździ, papier wycięty na kształt stołu z amerykańskiej do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyrażenie strzałką.

Dorośle osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świece choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

- Duchu, duchu, przybądź. - Duchu, ducha, czy jesteś? - talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. - Duchu, duchu, kim jesteś? - „P I Ł S U D S K I”. - Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to:

koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity – duch wskazał „maj 1945”. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! – I cóż powiedzieć? – męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.



Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r. syn Józefa i Marii z de
Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny
za gospodarkę Czumowa.



Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacław Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla – Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspomnianym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna

piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroilo w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rządkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekła je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami

politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj płaczą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *...wiesz, gdzie drzewo wożą chłopcy? – urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołówstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i... najmiłsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moja jedyną sympatią. A mój wierszyk zaczynał się od słów: czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i

aktorów, urządzałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta